Warszawa, 26 lipca 1913 r. Rok IV. Nr. 30.

Do art. „Z TATR".

fot. J. Lando. WIDOK Z LILIOWEGO NA DOL. CICHĄ, HRUBY I KRYWAŃ.

S. Matusiak.

Jeszcze o naszej drużynie weselnej. 3)

5. Na pytanie, jak się rządziła nasza drużyna rodowa, trzeba odpowiedzieć na podstawie wskazówek, jakie zachował język, że do pewnego stopnia konstytucyjnie. Władza naczelnego wita, niewątpliwie na dawności rodu oparta, była, jako odzwierciedlenie władzy ojcowskiej każdego poszczególnego wita (naczelnika rodziny), niezawodnie bardzo silna, ale w najważniejszych sprawach do pewnego stopnia ograniczana za pomocą rady, którą stanowili witowie, naczelnicy rodzin, wchodzących w skład drużyny rodowej. Nawet wtedy jeszcze, kiedy życie rodowe dawno zamarło, wydawszy z siebie monarchię, a odbiciem jego były już tylko drużyny książęce, nawet wtedy jeszcze druhowie tych drużyn, zwani po swojemu starostami, obcymi zaś wyrazami: comites, kmiecie, żupani, panowie, stanowią przyboczną radę książęcą, radę, z której z czasem wyłoni się senat, jak wyłonił się niegdyś u Rzymian, właśnie z takich starostów, po łacinie senes, seniores, i stąd właśnie senatus nazwany.

Jedną z najzwyklejszych spraw, do których naczelny wit zwoływał podwładnych witów (starostów) na posiedzenia, był sąd, którego to wyrazu pierwotne znaczenie odrazu pojmiemy, skoro tylko zważymy, że jest on tego samego pochodzenia, co siąść — siędę.

„Zwołać na sąd“ to pierwotnie to samo, co „zwołać na *siąd“, „zwołać na posiedzenie“, a że tego siedzenia zwykłą przyczyną było roztrząsanie sporów i wydawanie wyroków, tego dowodem najlepszym ta okoliczność, że wyraz sąd, oznaczający pierwotnie „siedzenie, posiedzenie“, przybiera z czasem znaczenie „wydawania wyroków czyli sądzenia“, potem „wyroku“ samego i „instytucyi sądowej“. Na oznaczenie wyroku samego miały języki słowiańskie dwa prastare wyrazy: *wiat[1]) i rok, ale z czasem oba te wyrazy przybrały to samo znaczenie, co sąd, tak, że czy się powiedziało: „przybyć na sądy“, czy „przybyć na „*wiaty“, czy „przybyć na roki“ znaczyło to jedno i to samo. Od wyrazu *wiat w znaczeniu „sądu“ poszedł nasz prastary, bardzo piękny, swojski, dzisiaj niestety już zamarły wyraz wietnica, używany jeszcze w wieku XV w znaczeniu „izby sądowej“, tudzież „ratusza“ [2]). Od tego samego wyrazu *wiat w znaczeniu „sądu“ poszedł także równie stary i piękny wyraz wiec, w wieku XV używany jeszcze u nas, jak dotąd we wszystkich językach słowiańskich, w formie nijakiej wiece[2]). (Myśmy potem z formy nijakiej wiece zrobili męską wiec zupełnie w ten sposób, jak z form pierwotnie nijakich Zagórze, Podgórze it. p. czynimy męzkie Zagórz, Podgórz[3]). Wiec, a dawniej wiece to przed wiekami przymiotnik od wyrazu *wiat „sąd“, przymiotnik, który u nas brzmiał niegdyś na rodzaj męski *wiec, na żeński *wieca, na nijaki wiece, a oznaczał tyle, co dzisiejsze sądowy-a-e. Wiece zebranie, zgromadzenie lub posiedzenie znaczyło więc „zebranie, zgromadzenie, posiedzenie sądowe“. Było to oczywiście nic innego tylko zebranie się witów (starostów) podwładnych na sądy, zwołane przez wita naczelnego. Wyrazy „zebranie, zgromadzenie, posiedzenie“ jako łatwo domyślne opuszczano, a używano samego wyrazu wiece, jako charakteryzującego rzecz, który też skutkiem tego został z cza-

[1]) W języku starocerkiewnym brzmi ten wyraz wět.

[2]) Zob. M. Bobowskiego. Pieśni polskie katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku, str. 258, 456. Archiv für slavische Philologie III, 62.

[3]) Forma Zagórz stała się już urzędową; Podgórze urzędowo się jeszcze trzyma, ale lud krakowski używa powszechnie formy Podgórz.

sem rzeczownikiem w znaczeniu „zebrania, zgromadzenia, posiedzenia sądowego“. To znaczenie ma ten wyraz jeszcze w wieku XV [1]), wcześnie jednak musiał przybrać i znaczenie „narody, rady“, tudzież wogóle „zebrania politycznego“ [2]), gdyż na wiecach sądowych załatwiano zdawna, korzystając z zebrania najważniejszych czynników rodowych, plemiennych, państwowych, inne także ważne sprawy rodowe, plemienne czy państwowe.

Na wiecu witowie poszczególnych rodzin mieli niezawodnie tylko głos wyjaśniający i doradczy, rozstrzygał zaś sprawy czyli wydawał roki, inaczej *wiaty nieodwołalnie, jak każdy wit w swej rodzinie, tylko wit naczelny rodu, o czem już stąd wnioskować można, że kiedy na widownię dziejową wyłania się monarchia nasza, król jest najwyższym sędzią i władzę tę nad szlachtą sprawuje sam i to osobiście, zjeżdżając co roku do każdej prowincyi (dzielnicy) i odbywając roki na wiecach w otoczeniu najwyższych dygnitarzy (starostów, kmieci inaczej komesów lub kmitów, żupanów, panów) swej drużyny dworskiej i dygnitarzy danej prowincyi, tak samo nazywanych (starostów, kmieci, komesów, kmitów, żupanów, panów). Nabożna pieśń nasza z wieku XV, która powiada:

Adamie, ty Boży kmieciu, Ty siedzisz u Boga w wiecu — wyobraża sobie Pana Boga jako króla polskiego, a pierwotnego człowieka Adama jako wysokiego dygnitarza (starostę, kmiecia, komesa, kmitę, żupana, pana polskiego), zasiadającego w jego radzie na wiecu.

Co nie mogło być załatwione w tym roku (w tym sądzie, w tym terminie sądowym), to odkładano do następnego roku (do następnego sądu, terminu sądowego), a ponieważ ten następny termin sądowy (posiedzenie sądowe, inaczej wiece) przypadał dopiero mniej więcej po 12 miesiącach, więc rok począł z czasem oznaczać także to, co dzisiaj oznacza, t. j. czas roczny. Zamiast roki (sądy), *wiaty mówiono także gody, gdyż ostateczny cel tych sądów, roków, było godzenie stron powaśnionych, stąd zjechać na gody znaczyło tyle, co zjechać na roki, a czego nie zdołano załatwić w tym godzie, odkładano do następnego godu, który następował mniej więcej dopiero po upływie roku, stąd znowu w niektórych językach słowiańskich rok nasz (czas 12 miesięcy) zowie się godem. Obok męzkiej formy god używano także żeńskiej goda, jak o tem świadczą jeszcze dzisiaj wyrazy zgoda i pogoda, zdrobnieniem zaś wyrazu goda jest wyraz godzina, jak zdrobnieniem wyrazu kobieta jest wyraz kobiecina.

D. N.

[1]) „Na wiecach albo na poroczkach“ czytamy w tłomaczeniu Statutu wiślickiego, w tłomaczeniu z roku 1460 na str. 13b.

[2]) W dokumencie z roku 1444 czytamy: colloquium wyecze vel poradzenye. Prace filologiczne V, 36.

ZBIORY POLSKIE.

B. Janusz.

Zbiór broni Stanisława Kruka we Lwowie. [2)]

„Czterdzieści lat zbierałem kawałek po kawałku, to się i nazbierało“ — wyjaśnia gościnny gospodarz. Powiedzenie to tłumaczy odrazu, skąd też takie mnóstwo okazów znalazło się w niepokaźnym domku, po którym niktby się nie spodziewał, co w sobie mieści! Nie powstydziłoby się tej zbrojowni największe choćby muzeum, tyle tam rzeczy ciekawych i cennych. Mnóstwo szabel, mieczów, dzid, lanc, halabard, toporów, broni palnej, pocisków, moździerzy, zbroi, kos, noży, sztyletów i t. p. Oto pierwsze wrażenie, jakie odbiera się na widok arsenału p. Kruka. Powoli dopiero, po bardzo szczegółowym przeglądzie, rozróżniać zaczynamy owe „białe kruki“, znane między zbieraczami, którzy ich szczęśliwemu posiadaczowi zazdroszczą.

Zwyczajem przyjętym wymienimy okazy najciekawsze, zaspokajając poza tem ciekawość czytelnika dołączonemi zdjęciami. Na największą uwagę zasługują miecze, stanowiące, zdaje się, najstarożytniejsze okazy zbioru. Śliczną sztuką jest miecz oburęczny, dochodzący prawie wysokości człowieka, o rękojeści długiej do obu rąk, jelcu ozdobnym, lekko ku dołowi wygiętym, z ozdobami w kształcie wąsów zawijanych; dwie trzecie ostrza obusiecznego, oddzielone od reszty z góry występom półksiężycowym. Występ ten, jako też część odeń począwszy do jelca, stanowi tępa sztabka prostokątna. Ponieważ miecz ten noszono bez pochwy na ramieniu, zatem występ wspomniany zapobiegał usuwaniu się miecza z barków. Broni tej używali landsknechci szwajcarscy i niemieccy (XVI w.) do torowania drogi żołnierzom, u z b r o j o n y m w lance i halabardy, przy starciu z nieprzyjacielską piechotą, jako też do obrony murów przeciw wdzierającym się na nie wrogom. W Polsce nie była rozpowszechniona.

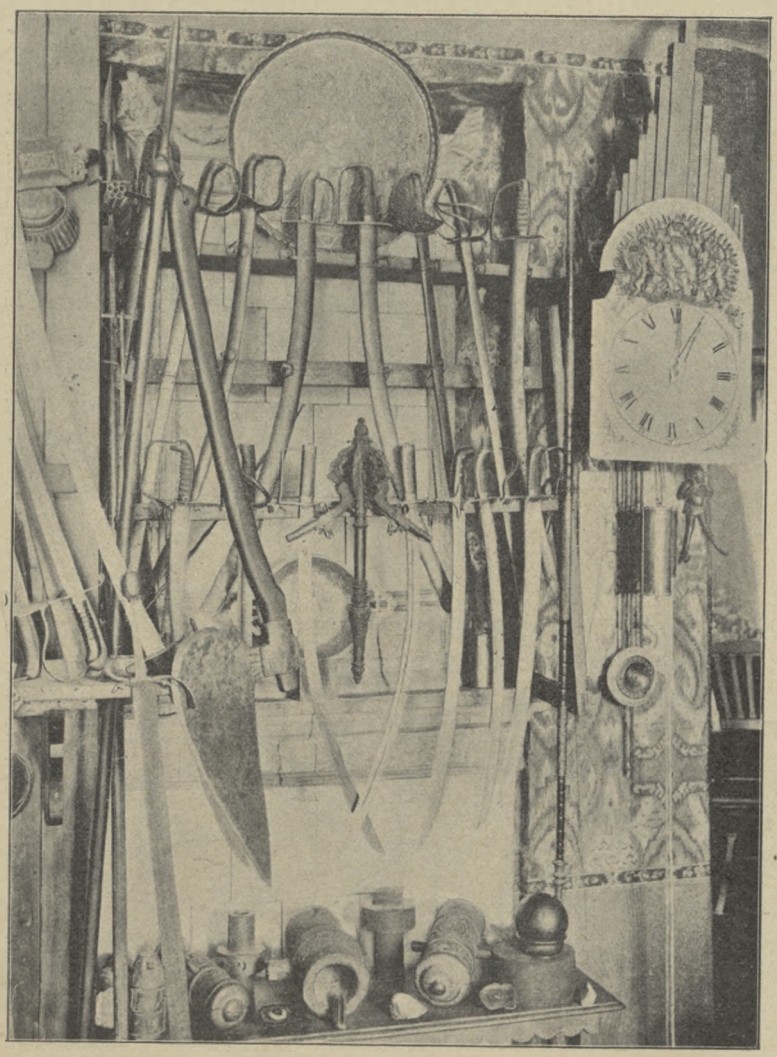

ZBIÓR BRONI ST. KRUKA WE LWOWIE. *fot. B. Janusz.*

Jednym z najcenniejszych okazów w zbiorze jest miecz polski z czasów Kazimierza Wielkiego. Ostrze zwężające się ku dołowi, podwójnie rowkowane, rękojeść okręcona drutem żelaznym, głowica zaś i jelce żelazne, ażurowej roboty, o charakterze wybitnie gotyckim.

Miecz slawońskiej gwardyi

dożów weneckich t. zw. *schiavona*, z początku XVII w. — ostrze dość szerokie, zbieżne ku końcowi, u góry żłobkowane, rękojeść oplecіona drutem żelaznym, jelec wraz ze splotami kabłąka chroni całą rękę od ciosów. W zbiorze p. Kruka są dwa podobne okazy. Muzeum im. Lubomirskich posiada podobne miecze, nieco krótsze, mylnie podane w katalogu za miecze szkockie.

Miecz francuski (z marką węża) z rękojeścią kabłąkową, wskazuje na w. XV. Inny miecz prosty obusieczny, zbieżny ku końcowi, z napisem hiszpańskim, rękojeścią charakterystyczną wskazuje na pochodzenie maurytańskie. Na w. XV wskazują również resztki jelca i nagłówek rękojeści prostego miecza obosiecznego z ostrzem, zjedzonem przez rdzę. Rzadko spotykanym w muzeach okazem jest broń czeskiego pochodzenia t. zw. d u s a k lub t e s a k. Jest to szerokie, lekko skrzywione ostrze, mające zamiast rękojeści u góry otwór owalny, służący zarazem za ujęcie i kabłąk dla ochrony ręki. Broń ta używana była w XV—XVI w. w Niemczech, a szczególnie w Czechach. Bardzo ciekawym okazem t. zw. brunatnego damastu jest krótkie ostrze obusieczne, którego kształt liścia laurowego wskazuje na pochodzenie ze średniowiecza — jest to sztylet, prawdopodobnie wykopany, pozbawiony rękojeści i jelca.

Z grupy halabard wyróżnia się jedna zwłaszcza o toporze kształtu półksiężyca, pochylonego ku dołowi, z krótkim silnym hakiem o ostrzu cienkiem, czworokątnem i tuleją czworokątną, z której wychodzą żelazne pióra (listewki), umacniające osadę na czworokątnym od góry trzonku, przechodzącym poniżej w ośmiogran. Zupełnie identyczną halabardę widzieć można na obrazie Ambergera, w ręku słynnego dowódcy landsknechtów niemieckich, Jerzego von Frondsberga (XVI w.) Odmiany halabardy, bardysza, u ż y w a n o i w Polsce.

Do kategoryi cepów — bijaków wojennych zaliczyć należy broń, używaną szczególnie w Czechach przez taborytów Żyżki, składającą się z krótkiej rękojeści drewnianej, okutej żelazem, u której na łańcuchu zwiesza się żelazna, kolcami nabijana kula. Charakterystyczną bronią wojen chłopskich (XV—XVI w.) była t. zw. M o r g e n s t e r n, t. j. kula żelazna, opatrzona kolcami, na długim trzonku.

Ciekawym kształtem ostrza zwraca uwagę wielki i ciężki topór na długiej rękojeści, najprawdopodobniej polski — używany w szczególności do odpierania szturmu na mury. Według dr. Al. Czołowskiego jest to ceremonialny topór cechu rzeźników. Gdyby tak jednak było, to spodziewać należałoby się ozdobniejszych nieco kształtów, zbyt prostych u opisanego okazu.

Mylnie za odznakę wolnomularską uważana jest w zbiorze p. Kruka buława heroldów królewskich. Piękny ten okaz wycyzelowany jest w żelazie, w stylu odrodzenia. Zupełnie

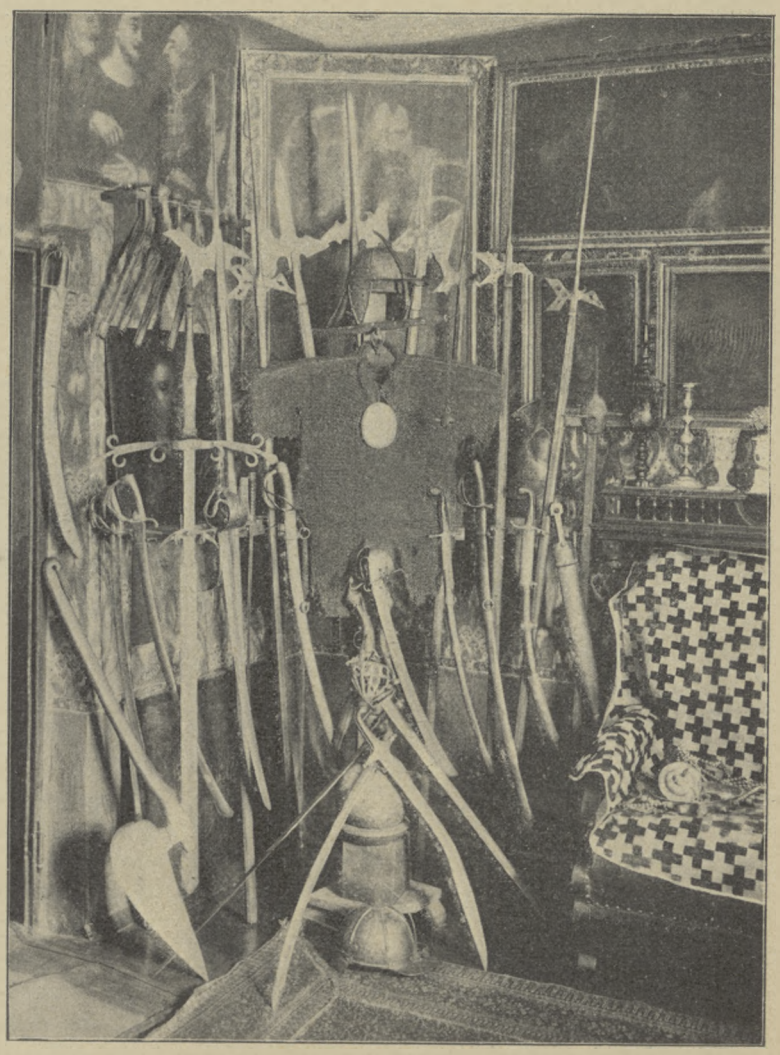

fot. B. Janusz. ZBIÓR BRONI ST. KRUKA WE LWOWIE.

podobne buławy, jednakże wcześniejsze w stylu, widzimy u heroldów Izabeli kastylskiej i Ferdynanda aragońskiego na obrazie R. Balaca — Krzysztof Kolumb przed parą królewską w Barcelonie (1493 r.).

Z szabel ciekawsza jest jedna o ostrzu lekko skrzywionem, toledańska — rękojeść o jelcu długim i koszu, zakrywającym z boku rękę od ciosu. Wśród kilku szabel polskich zwraca uwagę jedna o długiem, krzywem ostrzu, przy końcu rozszerzonem o rekojeści szyldkretowej (XVII w.). Piękna jest również szabla tatarska, niezbyt długa, o ostrzu z wschodnim napisem i ozdobnie wyrobionym jelcu, oraz okuciach pochwy. Rzekomo należącą kiedyś do Chmielnickiego ma być szabla o ostrzu lekko wygiętem, z rękojeścią nowoczesną, z cyframi, jakoby cyrylickiemi, B. Chmielnickiego. Bardzo ciekawa jest krótka szabla o ostrzu rozszerzonem przy końcu, z później dorabianym jelcem. Poza tem na uwagę zasługuje kilka szabel napoleońskich, kościuszkowskich, szabel z sejmików szlacheckich, opatrzonych na końcu ostrza haczykami, służącymi do ściągania kołpaków mówcom niesympatycznym, szable Fryderyka Wielkiego i t. p.

Wśród strzelb ciekawsze są karabiny z czasów napoleońskich, sztućce tarczowe miejskich towarzystw strzeleckich, strzelby z fabryki Żółkiewskiej (napis: „Peter-Forst—Żółkiew 1807"), garłacz i gruba lufa, prawdopodobnie ze śmigownicy, tudzież sporo pistoletów skałkowych.

Z innej broni i okazów wymienić jeszcze należy koszulkę żelazną z kółek nitowych, mniejszych w miejscach, wymagających swobody ruchów, a bardzo grubych na piersiach, ryngraf z M. Boską, pas metalowy t. zw. przeworki, buzdygan wykopany na Zniesieniu pod Lwowem, kosa na sztorc (z marką — krzyżyk ukośny), kilka hełmów z czasów wojny trzydziestoletniej, hełm skórzany dragonów angielskich z pod Waterloo, trzy moździerze wiwatowe z herbem Leliwa i litewską Pogonią, jedna wiwatówka kuta, bomba niezwykłych rozmiarów, lanca ułańska i w. in.

Taki jest arsenał p. St. Kruka, który należy do pierwszych we Lwowie zbieraczy broni. Prócz niego cenną kolekcyę militariów polskich posiada dr. Miziewicz, Wł. Łoziński, dr. Al. Czołowski, p. Zygm. Hartleb i kilku innych. Z publicznych zbiorów Muzeum im. Lubomirskich i Muzeum Narodowe im. Sobieskiego posiadają większe komplety broni polskiej i obcej. Spodziewać się zaś można, iż p. St. Kruk nie pozwoli rozejść się po świecie tak zmudnie zgromadzonym zbiorom swoim i zechce pamiętać o najlepszem zachowaniu ich, jakiem jest zawsze zbiór publiczny. A szkoda byłaby wielka, gdyby tak cenne rzeczy miały Bóg wie gdzie się dostać.

Jerzy Lande.

Z TATR. [1]

I.

W Wielki Piątek roku bieżącego, o godzinie ósmej wieczorem, w ciepły deszczyk wiosenny, wysiadło w Kuźnicach z góralskiego wózka dwuch taterników z czekanami w dłoniach; naładowawszy na plecy worki z przyczepionymi do nich rakami i przewiesiwszy przez ramiona narty na pasach oraz liny, ruszyli, chlupiąc ciężko okutymi butami po błocie, przeszli przez mostek na potoku — jeden z nich dość mocno kulał — i poczęli zwolna się podnosić zmienioną w rwący potok ścieżką na Boconi. Gdyby — przypuszczenie czysto

retoryczne, bez pretensyi do prawdopodobieństwa — znalazł się w tym czasie w Kuźnicach ktoś trzeci, ze strony, a pozostający w pełni rozsądku, i spytał turystów, co oznacza ten wymarsz w zimowem uzbrojeniu alpejskiem, podjęty w tak niezwykłych warunkach i porze, otrzymałby odpowiedź, że panowie ci mają zamiar dokonać wejścia zimowego na Świnnicę. Wtedy miałby pytający pole do domysłów: mistyfikacya? jakiś dziwaczny zakład? czy może zboczenie umysłowe?

Byłby na błędnej drodze. Przedsięwzięcie nasze [1]) zostało podjęte po wyczerpującym namyśle i trzeźwem, logicznem zważeniu szans, jakie przemawiały za i przeciw jego powodzeniu. „Za“ obliczaliśmy na 5%, „przeciw“ — na 95%. Memu towarzyszowi silnie dolegała noga, nadwyrężona poprzedniego dnia na nartach, ja ruszałem bez wypoczynku po całodniowej włóczędze górskiej, poprzedzonej przez pięć dni również całodziennych wycieczek narciarskich; w pośpiesznem wykonaniu postanowienia nie zdążyliśmy się dobrze nawet posilić. Wszystko to, wobec późnej pory wymarszu i męczącej drogi po roztopach na halę Gąsienicową, wobec paru zaledwie godzin snu, jakie nam mogła obiecywać hala, przedstawiało nam w bardzo smutnem świetle siły, z jakiemi porwać się mieliśmy jutro na tak poważne zadanie, jakiem jest wejście na wysoki szczyt skalny w warunkach zimowych. A do tego w pogodzie nastąpiła pod wieczór zmiana fatalna — przyszło ciepło i deszcz... Jednak, gdyśmy się spotkali wieczorem z moim towarzyszem i uświadomili sobie, że dzień jutrzejszy jest jedynym, jaki pozostaje do wspólnego wykonania tak nęcącego nas projektu, ruszyliśmy pomimo wszystko, nie chcąc darować bez walki nawet tych pięciu marnych szans na sto, jakie za powodzeniem przemawiały. Przyrzekliśmy sobie, że jeśli siły i pogoda nie uczynią nam jutro niespodzianki, wrócimy po noclegu na hali do domu, bez żadnej do siebie wzajemnej urazy. Była to świadoma gra na loteryi.

Smutnie i ciężko szedł marsz na halę. Zaledwie od Karczmiska mogliśmy zdjąć ze zmęczonych ramion i przypiąć do nóg narty. Była prawie północ, gdyśmy przyniesionym ze sobą kluczem otwierali zamczyste drzwi schroniska, a dwie godziny jeszcze upłynęły, zanim po napaleniu w piecu i spożyciu kolacyi wyciągnęliśmy się pod kocami.

Gdy przed szóstą rano towarzysz obudził mię okrzykiem: „pogoda“! — wziąłem to za złośliwy żart. A jednak była to prawda: słońce wstawało nad Kosistą, barwiąc na ciemnoróżowo drzemiące na grani obłoczki, a dokoła rzeźbił się w białych blaskach i niebieskich cieniach świat górski, promienny i cichy.

Porwaliśmy się gorączkowo. Pierwsza stawka była wygrana, i od nas teraz zależało tę wygraną wyzyskać. Posiliwszy się naprędce i zostawiwszy zbyteczne rzeczy w schronisku, o siódmej przypięliśmy narty, by je skierować wgłąb doliny ku szerokiemu siodłu Liliowego. Śnieg niósł dobrze i szło się szybko, wciąż wprost przed siebie, lekko w górę; nie bez obaw jednak spoglądaliśmy ku długiej grani, wiodącej przez Skrajną i Pośrednią Turnię na Świnnicę. Co nas tam czekało? jaki śnieg i jaki stan skał? Na inną, krótszą drogę przez przełęcz Świnnicką nie mogliśmy się zdecydować w obawie lawin.

Im bliżej ku przełęczy, tem bardziej stromo szło się pod górę. Narty ledwie zacinały twardy śnieg, na którym znaczyliśmy teraz pracowite zakosy. A słońce wznosiło się równolegle do nas, nad granią od Kościelca ku Świnnicy, rzucając w cień doliny ostre plamy blasków na śpiące pod śniegiem stawy i grając wachlarzami promieni wśród obłoków u góry.

Oto ostatni, stromy próg przełęczy. Wyszliśmy na Liliowe — i oczy nam się przymknęły mimowoli, niezdolne wchłonąć blasku, co nas otoczył, i coś się nam w duszach ugięło w kornem zachwyceniu.

Rozsiadła się przed nami za niezmierną głębią doliny Cichej, grupa Wielkiej Kopy Koprowej, a dalej na prawo — cały zwarty tłum Tatr Zachodnich — latem zbiorowiska nużących swą jednostajnością szarych „kop siana“, teraz — jakaś nieprawdopodobna symfonia bieli: srebrne hełmy ośnieżonych szczytów palą się w potężnem słońcu wiosennem, od nich spływają zbocza, rzeźbione w tysiące misternych fal i załamań, znaczone gdzieniegdzie czernią skalnych żeber; a u dołu, zrazu subtelne niby kreski piórkowe i nieśmiałe, potem w zwartą masę zebrane — czarne smreki doliny. I nad całym tym białym światem — drugi świat, biały również, lecz tak inny — świat obłoków, piętrzących wysoko swą lotną budowę. Lśnią, wisząc w przestworzu bajeczne zamki nad Kopami. Na lewo, wzdłuż samego grzbietu Hrubego, pełza długi wał obłoku, jak potworna gąsienica, czy legendarny król wężów. A na Krywaniu wije się żywy, ruchomy zawój z mgły,

[1]) Parę turystów stanowili p. Stanisław Osiecki i autor tego opisu.

SZCZYT ŚWINNICY WIDZIANY Z POŚREDNIEJ TURNI. *fot. J. Lande.*

w oczach naszych rozpływający się w powietrzu.

Stalibyśmy tak długo w bezruchu, chłonąc w siebie to piękno dziwne i rzadkie i bojąc się zmącić ruchem lub wyrazem ciszę górską, tę ciszę bezwzględną, tylko w zimie możliwą, gdy śpią potoki i nie spadają kamienie, — ale czeka nas Świnnica.

Zatknęliśmy tedy narty głęboko w śnieg na przełęczy i poszliśmy łagodną granią ku wschodowi. Pierwsze kilkaset metrów napełniło nas otuchą co do dalszej drogi: wiódł nas z początku pas trawek i głazów, przygrzanych słońcem i wolnych od śniegu, dalej śnieg miękki, dość sypki, lecz zapadający się niegłęboko. Na lewo zwisały z grani niewielkie, ale piękne nawisy śnieżne. Szliśmy wciąż śladem drobnych racic samotnej kozicy; około nawisów ślady silnie zbaczały w prawą, bezpieczną stronę.

Spacerowym krokiem przebyliśmy wszystkie garby Skrajnej Turni i zeszliśmy na przełęcz, dzielącą ją od Pośredniej. Teraz grań szła bardziej stromo w górę; zaczęła przeważać w niej skała, wolna od lodu, rozgrzana w słońcu; w kilku zagłębieniach ukazywała się z pod śniegu ruda zeszłoroczna trawa i w słońcu wydawała zapach suchych ziół jesiennych. Zamknąwszy oczy, moglibyśmy wyobrazić sobie, że jest to ciepły dzień wrześniowy, gdyby nie blask śnieżny, co trwał w oczach nawet po przymknięciu powiek.

Z pod szczytu Pośredniej Turni odsłonił nam się wolny i bezpośredni widok na Świnnicę, opadającą ku południowi wdzięcznie pochyłem zboczem, ku północy zaś — prawie pionową ścianą. Grań, mająca nas nieść na szczyt, stała przed nami bez tajemnic. Za chwilę znaleźliśmy się na mocno zaśnieżonej przełęczy świnnickiej. Wśród ciszy dotąd niczem nie zmąconej doszły nas jakieś dziwne suche szmery: to z Pośredniej Turni szły jedna po drugiej do żlebu świnnickiego małe wiosenne lawiny. Sunęły wolno po śnieżnej powierzchni zbocza małe pasemka zbitych brył śniegu, aby się rozbić na skałach poniżej i kaskadami lotnego puchu opaść na dno żlebu.

Tu się rozpoczął nasz atak na główną,

ostateczną twierdzę. Na najniższej części grani brak śniegu umożliwił nam trzymanie się kierunku ścieżki letniej, której czerwone znaki wiodły w zakosy po luźnych głazach i trawkach. Lecz wkrótce ścieżka weszła na prawo w żleb, napęczniały miękkim śniegiem, a myśmy zostali na grani. Ostrożność kazała nam związać się liną i iść kolejno. Po łatwych, choć eksponowanych skałach szło się dość szybko aż do miejsca, gdzie grań się spiętrza w prostopadły prawie uskok. Tu musieliśmy się wziąć na prawo: skały spychały nas do żlebu. Z wielką ostrożnością przekradaliśmy się śniegiem pod samemi skałami, aby nie poruszyć lawiny. Zaczęła nas nęcić gruda po drugiej stronie, przekroczyliśmy więc żleb ku niej i niewyraźnemi, mocno śniegiem pokrytemi skałkami szliśmy ku górze do miejsca, gdzie wypadło przekroczyć drugi, szerszy żleb. Teraz wyraźną grzędą po stromych skałach pięliśmy się aż do grani i wkrótce stanęliśmy na niższym wierzchołku Świnnicy.

Przykryty wysoką, pulchną czapką olśniewającego śniegu, wysunął się wdzięczny szczycik jak zamkowa strażnica nad przepaścistą ścianą północną. Pod naszemi stopami, w zawrotnej głębi, mieniła się w złote i białe plamy powierzchnia doliny Gąsienicowej, a tam gdzieś, z pod zasłony biało-rudawych obłoków, przeglądało jakieś tło ciemnego fioletu — coś bez wyrazu i bez życia, jakieś dno smutne, czarny padół: to był ludzki świat, świat zamieszkały.

I tak nas nagle uderzył kontrast tych dwuch światów, kontrast wczorajszego wieczoru i dzisiejszego dnia i nieprawdopodobieństwo tej naszej łatwej jak w marzeniu i słonecznej wędrówki po beznadziejnym, tragikomicznym wymarszu wczorajszym, że opadł nas strach: czy ten świat cudny, nadobłoczny, którym suniemy oto w ciszy lekko, jak na skrzydłach, nie jest złudą? Czy my nie śnimy? I dwuch dorosłych ludzi nie dla żartu, lecz z poważnym niepokojem, uszczypnęło się nawzajem w ręce,

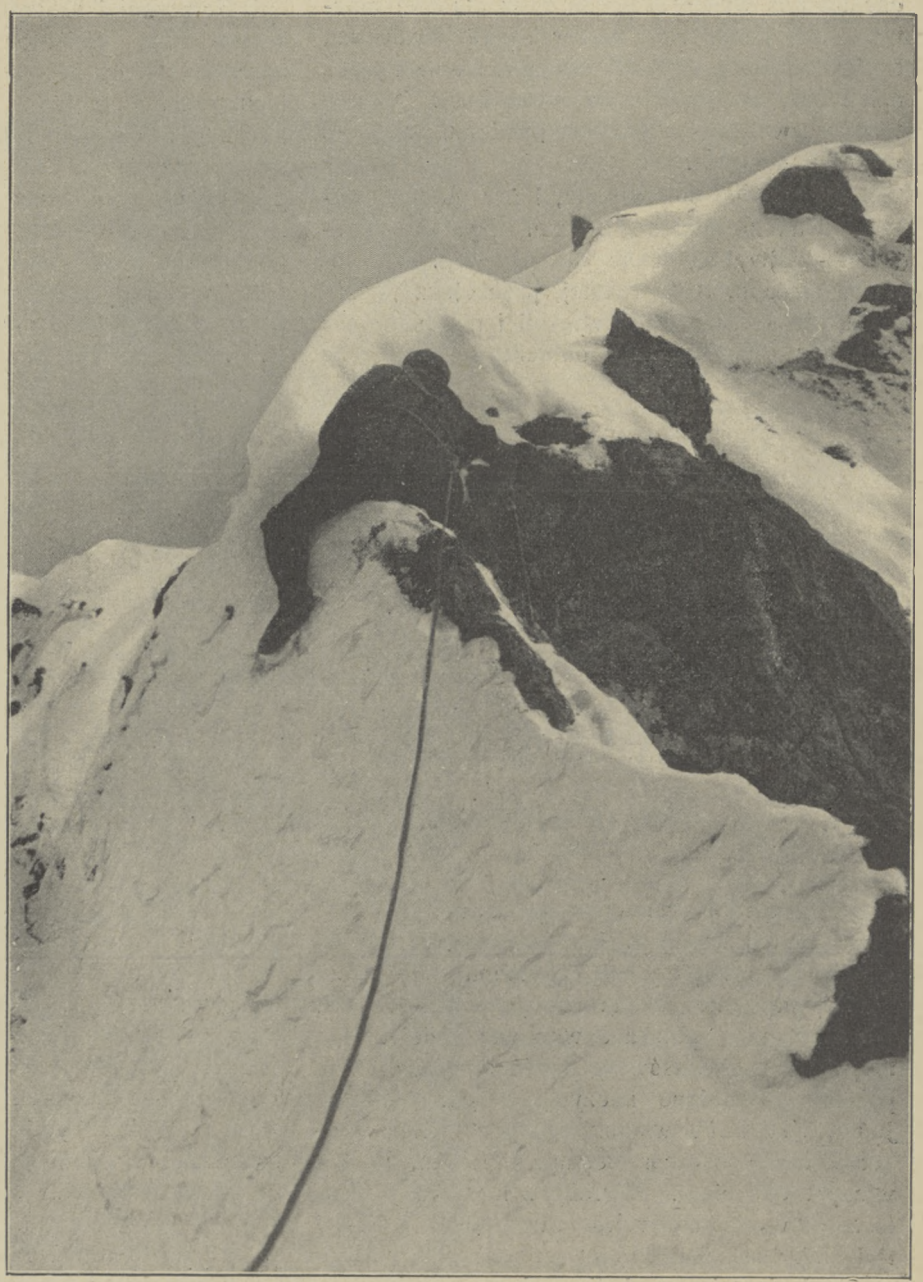

fot. J. Lande. „KONIK" ŚNIEŻNY W GRANI ŚWINNICY.

raz i drugi... Boli! A więc to rzeczywistość.

Na białą czapkę śniegu rzuciliśmy nasze worki, wraz z bezużytecznemi w braku lodu i twardego śniegu rakami, i lekko pomknęliśmy dalej. Piękna, wązka, nietrudna ale eksponowana grań układała się w szereg „kominków“, przed naszem przejściem — śnieżnych, po „jeździe“ naszej — z śnieżnej szaty odartych. I oto już jesteśmy na głównym szczycie Świnnicy. Spełniło się marzenie nasze, nieśmiałe, wczoraj prawie beznadziejne. Natura tatrzańska, tak często skąpa i kapryśna, dziś jakby chciała nas wynagrodzić za nasz dla niej fanatyzm, za szaleństwo wczorajszego wymarszu, i z królewską szczodrobliwością roztaczała przez dzień cały tak rzadkie bogactwo barw i świateł, że trwaliśmy w ciągłem olśnieniu, w cichej, radosnej ekstazie.

Owiała nas lekka mgła, i żar gorączki wystąpił nam na spalone twarze. Było po drugiej — najwyższy czas do powrotu. Po naszych śladach, tylko raźniej, prędzej, z poczuciem, żeśmy wielki los wygrali i nic nam już rozkoszy przeżytej nie odbierze — biegliśmy z powrotem ku Liliowemu. Słońce, już nizkie, przesycało lotne warstwy mgieł nad Cichą blaskiem miedzi. Śnieg począł twardnieć od mrozu.

Na Liliowym po krótkim wypoczynku przypięliśmy narty. Strome zbocze, pokryte teraz twardą jak szkło szrenią, ciężkie zadanie zgotowało naszym zmęczonym nogom. Szerokiemi oporami trzeba było hamować szalony pęd, w jaki się wpadało, i nieraz przy zmianie kierunku zdarzyło mi się niespodzianie wykonać niechcący salto-mortale z taką lekkością, jak to się tylko na nartach — i wbrew woli — potrafi.

Zmęczeni i szczęśliwi, zajechaliśmy o zmroku na Halę Gąsienicową. Jak najpiękniejsze edredony nęciły nas brudne koce schroniska, lecz trzeba było tegoż wieczora wracać do Zakopanego. Słońce dzisiejsze straszne spustoszenia uczyniło w śniegu, bez nart więc już od samego schroniska, naprzemian po błocie i kamieniach, po pas w ostatnich płatach śniegu, po korzeniach i lodzie, goniąc ostatkiem sił, lecz pełni jeszcze słonecznej pogody szczytów, zeszliśmy wolno na noc do uśpionego miasteczka.

D. N.

Władysław Tatarkiewicz.

Ceramika i szkło polskie na wystawie w domu Baryczków.

Z górą 1600 okazów dawnej ceramiki polskiej i przeszło 600 szkieł polskich zgromadziła wystawa, którą Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości otwarło na letnie miesiące w domu Baryczków.

Ceramika polska dawne ma dzieje. Od niepamiętnych czasów w różnych punktach ziem polskich wyrabiano naczynia z gliny palonej. Już w XIV i XV wieku istniały w wielu miejscach cechy garncarskie, np. w Borku, Wadowicach, Gombinie. Wyroby z Iłży lub Ćmielowa były zdawna znane nawet poza granicami Polski. Zwłaszcza wyroby ceramiczne, należące do budownictwa, kafle, płyty posadzkowe, tafle służące do zdobienie ścian i odrzwi, przechowały się z odległych stuleci, w najstarszych budynkach i ruinach. Przechowały się kafle i płytki z posadzek w ruinach Czerska, na Wawelu, na Pieskowej Skale, w zamku kowieńskim, w turmie płockiej; romański kościół św. Jakóba w Sandomierzu przechował cały portal z pysznie rzeźbionych kafli. Często posiadają te najstarsze zabytki barwę piękną i bogatą ornamentacyę. Z późniejszych wieków, od XVI do XVII, dochowały się już nietylko fragmenty, ale i większe całości: piece i otaflowania ścian po pałacach, figury świętych i całe ołtarze z terrakoty po kościołach. Część przynajmniej tych zabytków polskich wyrabiana była w Polsce;

wiadomo, że istniały w niej liczne fabryki kafli, np. we Lwowie, w Niepołomicach, w Olkuskiem, w Kruchowie pod Trzemesznem (Por. J. Kołaczkowski — Wiadomości, tyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce).

Wystawa Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości traktowała ten najstarszy dział ceramiki jako dodatkowy, zgromadziła tylko setkę przedmiotów. Ale są między nimi płyty z posadzki w Czersku, kafle z Pyszkowa i Drohiczyna, są cegły polewane z Pieskowej Skały i z kościoła św. Mikołaja w Kaliszu, są odciski ze sławnych kafli od św. Jakóba, jest wiele ciekawych kafli znajdowanych przy przebudowach warszawskich kamienic. Jest to jednak niewiele w porównaniu z tym, co wystawa zebrała z zakresu fajansu i porcelany.

Fajanse zaczęto wyrabiać w Polsce za Stanisława Augusta. Przedtem — poza odosobnionemi próbami krajowej produkcyi — używano „farfurów" zagranicznych. Za Stanisława Augusta wytwórczość krajowa rozkwitła odrazu bogato; najmożniejsi panowie, najpierwsze jednostki w kraju wzięły w niej udział. Sam król, któremu zasług w zakresie przemysłu krajowego nawet zdecydowani jego przeciwnicy odmówić nie mogą, założył fabrykę w Warszawie nieopodal pałacu Belwederskiego; energiczny marszałek Bieliński użyczył znów w innej dzielnicy Warszawy, w Bielinie, gruntów swych niejakiemu Wolffowi na fabrykę fajansu; Prot Potocki, magnat-przemysłowiec, miał fabrykę w Cudnowie; Jacek Jezierski, kasztelan łukowski, pamiętny mówca sejmowy, miał swoją w Grębenicach; ks. Ogiński założył fabrykę w Telechanach w Pińszczyźnie, Radziwiłł w Białej, Józef Czartoryski w Korcu na Wołyniu. Niektóre zwłaszcza z tych fabryk wyrabiały przedmioty doskonałe, mocne i bardzo piękne, stojące zupełnie na poziomie współczesnej produkcyi zachodnio - europejskiej. Polskie wyroby miały zresztą wraz z innymi europejskimi wyrobami wspólne wzory, mianowicie wzory chińskie, które niezmiernie silnie oddziałały na ceramikę artystyczną owych czasów. Dzięki tym wspólnym wzorom wyroby ówczesne podobne są między sobą, i nieraz, mając przed sobą fajans polski, nie łatwo jest orzec, z jakiej fabryki wyszedł. Tradycya faworyzuje wyroby królewskie belwederskiej manufaktury i wyroby tej epoki, zwłaszcza charakterystyczne wazony o chińskich kształtach nazywa wszystkie „belwederami".

№ 1 FABR. W KORCU, № 2—8 I 10 FABR. W BELWEDERZE, № 9 — BEZ MARKI.

Tych „belwederów" jeszcze bez mała pięćdziesiąt zdołała zgromadzić wystawa. Są to przeważnie wielkie wazony w kształcie kielichowatym z kulistem zgrubieniem w środku, lub też gruszkowate, czapką chińską przykryte. Na tle bronzowem lub szafirowem mają złoty ornament,

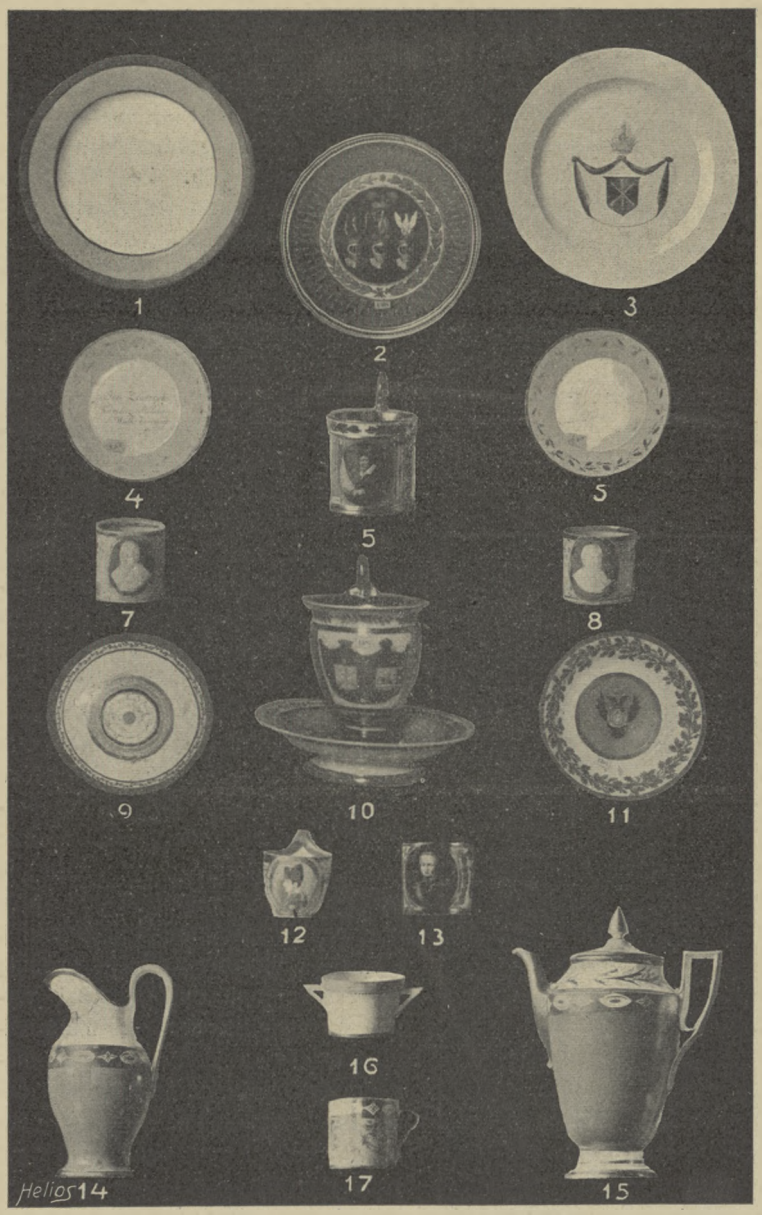

№ 1—3 FABR. TOMASZOWSKA, № 14—17 PROSZOWICKA.

albo też tło ich szafirowe zasypane jest białem kwieciem jabłoni lub tło brunatne kwiatem niebieskim; inne znów mają tło białe, a na niem unoszą się smoki, ptaki rajskie, rodzajowe sceny chińskie, wielobarwne bukiety i wieńce kwiatów. Obok wazonów wyrabiano też w fabrykach polskich i fajanse do codziennego użytku: te oczywiście prędzej uległy zniszczeniu i dziś mniejszą część spuścizny po stanisławowskich manufakturach stanowią. Znalazło się jednak na wystawie trochę belwederskich talerzy, waz i półmisków z typową osiemnastowieczną dekoracyą kwiatową, ozdobny kałamarz i kufel z trzema stanisławowskimi konnymi żołnierzami. Z pomiędzy wyrobów tej epoki wyróżniają się swoistym wyglądem ciężkie wazony telechańskie, zdobione en relief maskaronami, baraniemi głowami, kwiatami, oraz wyroby śląskich manufaktur w Bolesławowie i Prószkowie.

Te pierwsze fabryki polskie nie przetrwały okresu Stanisława Augusta. Z początkiem XIX w. był wprawdzie Korzec najznaczniejszą fabryką w kraju, ale była to już właściwie fabryka nowa: dawna spaliła się 1798 roku: na miejsce dawnego dyrektora Mezera przyszedł Mérault, francuz z Sèvres, a gdy znaleziono w okolicy odpowiednią do porcelany glinkę, produkcya Korca przerzuciła się prawie zupełnie z fajansu do porcelany. Powstawały w tym czasie i nowe fabryki. Ordynat Zamoyski założył fabrykę w Tomaszowie, a na dyrektora jej powołał Mezera; drugi Mezer sam założył fabrykę porcelany w Baranówce; powstała fabryka w Proszowicach i u Lubomirskich w Horodnicy. Był to już nowy okres ceramiki. Zapanowała prawie wyłącznie porcelana. Znikły chińskie wzory, wielkie wazony, wielobarwność i bogaty, złożony kształt; zapanowała biel i złoto, kształt prosty i prostolinijny ornament. Fabrykacya skoncentrowała się na przedmiotach drobnych i użytkowych, serwisach, ozdobnych filiżankach, garnuszkach i paterach, ale z najdrobniejszej, najcodzienniejszej rzeczy robiła dzieło sztuki.

Z tego okresu przechowało się jeszcze sporo zabytków. Przechowały się jeszcze częstokroć całe serwisy. Porcelana korecka ze wszystkich epok reprezentowana jest bogato na obecnej wystawie; jest też wiele Baranówki i Horodnicy. Natomiast Tomaszów i Proszowice są dziś już rzadkością; wystawa zebrała wiele ich wyrobów, ale zato same najprzedniejsze okazy o niezwykle delikatnym rysunku i pięknej ornamentacyi.

I te fabryki istniały niedługo. Koło roku 1830 niewiele już z nich zostało, a i te co zostały, były w stanie upadku. Utrzymała się tylko założona w 1809 r. przez Jacka Małachowskiego fabryka w Ćmielowie, która poprzez

różne koleje dotrwała aż do naszych dni. W przemysłowym XIX wieku powstawało oczywiście wiele nowych fabryk, które wyrabiały przedewszystkiem przedmioty dla codziennego zapotrzebowania, ale artystyczna strona była w zaniedbaniu. Ani przepychu stanisławowskich wazonów ani wdzięku empirowych serwisów tu się już nie znajdzie. Najlepsze jest jeszcze to, co powstało w duchu prostych ludowych motywów; inne rażą tandetą, wzorującą się na niemieckim imporcie. Wyróżniają się z pomiędzy innych bardziej swoistym wyglądem bardzo kolorowe wyroby fabryki Potockich w Rytwianach, Łubieńskich w Lubartowie i Radziwiłłów w Nieborowie.

Wyroby tego ostatniego okresu ceramiki mniej ważne artystycznie, ale historycznie będące nie bez znaczenia, też znalazły się w typowych przykładach na wystawie. Są tu Staszów, Radziejowice, Rzuchów, Emilczyn, Dębniki, Dowbysz, Koło, fabryka W. Łuszczewskiego, Bielotyn, Romanowska, Barasze, Pakaniewo, Żarki, Pruszków pod Warszawą, Kielce, Iłża, Małachowa, Jedlnia, Denków, Brzostowa, Siedliska, Glińsko, Bodzechów, Gromadzica, Potylicz, Poremba, Siemiatycze, Rytwiany, Włocławek, Sławsk, Lubrycza. Jest długi szereg bardzo różnorodnych wyrobów Ćmielowa, jest prawie wyczerpująco przedstawiony Nieborów.

№ 1—7 — SZKŁO Z HUTY W URZECZU, № 8 SZKŁO Z HUTY W NALIBOKACH.

Szkło polskie ma równie długą historyę jak ceramika. Są wiadomości archiwalne o hutach szklanych już w XIII w., wiadomo, że w XV w. były cechy szklarskie. Na ogół jednak lepsze wyroby szklane były w dawnej Polsce rzadkim przedmiotem wykwintu, znajdowały się tylko w najzamożniejszych domach i chowane były jak precyoza. Ale z XVII wiekiem wchodzą w ogólne użycie. I zżyły się te puhary i szklanice nieporównanie silniej z życiem polskiem, niż farfury i porcelany, które długo były cudzoziemską naleciałością, magnackim tylko sprzętem. Z hut polskich nie wszystkie wyrabiały szkło wytworne i artystyczne, ale kilka najlepszych z nich wyrabiało rzeczy wprost znakomite. Niedarmo są sławne Urzecze i Naliboki. Urzecze produkowało także i doskonałe zwierciadła. Król Stanisław August, który po całej Europie szukał sprzętów najwykwintniejszych, z Urzecza brał zwierciadła dla zamków grodzieńskich.

Odzywa się przeszłość w tych kilkuset puharach, które zebrano na wystawie. Niema prawie ani jednego, który nie byłby zdobny w herby, napisy, litery i nie przypominał ludzi owej epoki. Są między niemi najprzedniejsze dzieła sztuki, o szlachetnych kształtach, o subtelnem nad wyraz zdobieniu. Przodem idą huty Radziwiłowskie: Urzecze i Naliboki. Ale są tu też piękne wyroby XIX już wieku, Hordli-

czki w Barczący i Czechach, jest Rąbiesz, Sławinek, Rososza. Są oprócz puharów ciekawe i piękne flasze, karafki, butelki, dzbanki, wazoniki, talerze. Są żyrandole i lustra.

Przyniosła wystawa w nasze czasy cały zastęp tych zewnętrznych form, śród których odgrywało się życie polskie, zwłaszcza XVIII wieku.

Tem bardziej, że prócz farfurów i szkieł znalazło się jeszcze miejsce na trochę bronzów polskich, świeczników, lichtarzy, tac, reflektorów, i że ściany obwieszono dywanami polskimi, makatami, kilimami i pasami. Stanisław August na pięknym portrecie Pitschmanna króluje śród tych wykwintnych pamiątek dawnego polskiego życia.

Ze stowarzyszeń.

Z nadesłanego nam sprawozdania Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie za 1912 rok widać stały, nawet szybki, choć niezupełnie równomierny rozwój instytucyi. Największą energię i największe rezultaty widać w gromadzeniu zbiorów. Tak np. do księgozbioru wpłynęło 1368 dzieł w 2873 tomach, do zbiorów muzealnych 1611 przedmiotów. Ciekawe jest zestawienie przybyłych w 1912 r. książek pod względem języka: polskich przybyło 1862 tomów, francuskich 458, rosyjskich 394, łacińskich 150, ukraińskich 15, białoruskich 14, litewskich 11 i t. d. Gorszym wynikiem pochwalić się mogą roboty koło budowy własnego gmachu, podjęte latem 1912 r. po dwuletniej przymusowej dla braku środków bezczynności. Fundusz na budowę domu w d. 1 stycznia r. b. wynosił rb. 3828,13, dalsze zaś roboty postanowiono prowadzić sposobem gospodarczym, już częściowo w 1912 r. stosowanym. Te dwie sprawy pierwszorzędnego znaczenia absorbowały Zarząd tak dalece, że nie starczyło mu sił na działalność wydawniczą — nawet rocznik za rok 1912 nie wyszedł. Nie obfity również jest wykaz komunikatów, przedstawionych przez członków na zebraniach. Członków liczyło Towarzystwo łącznie z członkami korespondentami i członkami honorowymi 446. Niestety, w dołączonym spisie spotyka się z przykrem zdziwieniem brak nazwisk ludzi znanych i głośnych na Litwie, ludzi, którzy jeśli nie pracą to majątkiem mogliby śpieszyć tej pierwszorzędnej placówce naszej z pomocą. Dlaczego?

oooooooooo

Nowe książki.

Zabytki wielkopolskie. Zeszyt I. Poznań. Premia Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu. Rok 1912.

Doskonały pomysł miało Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych, rozpowszechniając znajomość zabytków wielkopolskich za pomocą rozchodzących się pomiędzy najszerszemi warstwami premiów. Na pierwszy ogień poszły zabytki Poznania, miasta, które się u nas często, jadąc do Berlina, mija, nie wysiadając z wagonu, a które przecież co zresztą powszechnie wiadomo, ma pierwszorzędne skarby i zabytki sztuki. Otóż te piętnaście plansz formatu ćwiartki, zawierające tyleż najpiękniejszych gmachów poznańskich lub ich szczegółów, nie mogą wyczerpać bogactwa zabytków miasta, ale mogą dać o niem jakie takie pojęcie. Nie jest to zresztą bynajmniej zwykłe album miasta, albo raczej może jest wzorem tego, jak takie album winno być układane. Z każdego stylu, z każdej epoki podany jest najbardziej typowy zabytek lub jego najciekawszy fragment w dobrze wykonanem zdjęciu fotograficznem, niekiedy w rysunku. Tylko oba najbardziej efektowne zabytki poznańskie: ratusz i fara nie zostały oddane tak jakby na to zasługiwały. Ryciny poprzedza tekst objaśniający p. Nikodema Pajzderskiego, krótki, zwięzły ale wyborny rys rozwoju sztuki poznańskiej na tle ogólnego rozwoju sztuki polskiej.

T-t.

Przewodnik po Płocku. Nakładem Tow. Naukowego Płockiego. Płock. Cena 2 złote.

Wśród różnych utrudnień i przeszkód, z jakiemi walczyć muszą nasi czynni krajoznawcy przy zwiedzaniu kraju ojczystego—jedno z pierwszych miejsc zajmuje brak odpowiednich, odpowiadających wy-

maganiom naukowym i praktycznym przewodników. To też niepospolicie przysłużyło się krajoznawstwu Płockie Towarzystwo Naukowe, wydając przewodnik po swem rodzinnem mieście. Płock niewątpliwie należy do najpiękniejszych miast w Polsce, a krajobraz, jaki z wysokiego brzegu płockiego roztacza się na rozległą okolicę, niewielu ma współzawodników na ziemi naszej pod względem piękna.

Wydany przewodnik nie obejmuje wprawdzie wszystkich tych rozdziałów, które zwykliśmy w dobrych i wszechstronnych przewodnikach spotykać; narazie wydawcy, licząc się z palącą potrzebą, dali nam tu głównie najniezbędniejsze wiadomości informacyjne, dotyczące dojazdu, przybycia i pobytu w mieście, nieco danych geograficzno-statystycznych i wreszcie szczegółowy przegląd gmachów, zabytków i instytucyi miejskich — w opracowaniu Maryi Macieszyny, małżonki prezesa Płockiego Towarzystwa Naukowego.

Nie wątpimy, że zaznajomienie się bezpośrednie z przewodnikiem tym niejednego zachęci do sprawdzenia osobiście słuszności tego, co Klonowicz, odbywając na tratwie podróż po Wiśle, powiada w swym „Flisie":

Płocko wesołe na lądzie wysokim
Oglądasz, będąc pod brzegiem głębokim,
Chcesz-li wierzch ujrzeć stamtąd kościołowy
Zdejm kołpak z głowy.

K. K-ć.

Dr. Aleksander Jaworski. Katalog rękopisów biblioteki im. Łopacińskiego w Lublinie. Wydawnictwo Tow. Bibl. Publicznej im. Łopacińskiego Nr. 1. Lublin 1913.

Dzięki subwencyi Tadeusza Piotrowskiego Tow. Biblioteki im. Łopacińskiego wydało rzecz godną naśladowania w opracowaniu członka komitetu dr. A. Jaworskiego—mianowicie całkowity inwentarz posiadanych rękopisów, spełniając obowiązek względem ogółu interesującego się zabytkami piśmiennymi naszej przeszłości i dając nam możność oryentowania się przy poszukiwaniach naukowych.

Zbiór rękopisów, pozostałych po ś. p. H. Łopacińskim, nie w całości stał się własnością Tow. Lubelskiej Biblioteki Publicznej — część znaczna oddana została Akademii Umiejętności w Krakowie.

Poza tem katalog obejmuje wykaz innych darów i depozytów. Najpoważniej prezentuje się „Archiwum hr. Suchodolskich z Gościeradowa", deponowane tu przez tę rodzinę. Obejmuie ono głównie materyały, dotyczące rodzin: Duninów-Karwickich, Prażmowskich, Wybranowskich, Szembeków i Suchodolskich, oraz następujących miejscowości: Gościeradowa, Słupczy, Żychowa, Węglina, oraz starostw: urzędowskiego i lipnickiego.

Drugi z kolei znaczny zbiór zdeponowany został przez Jana Steckiego; zawiera on archiwum jaszczowskie hr. Kickich i dotyczące — Cichostawa, Kopiny, Suchowoli, Branicy, Jaszczowa i Waynia oraz rodzin: Branickich, Firleyów, Kuczyńskich, Niemyskich, Kopińskich, Jezierskich, Pszonków i Kickich.

Wreszcie — mamy tu rękopisy z daru p. Władysława Karwowskiego, dotyczące Mohylowa, i p. H. Wiercieńskiego.

Dołączony w końcu katalogu skorowidz osobowy i rzeczowy ułatwia odszukanie i korzystanie z materyałów w katalogu zawartych.

K. K-ć.

oooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ „Kuryer Warszawski" donosi o ciekawych odkryciach archeologicznych, dokonanych w starożytnym kościele dawniejszego opactwa kanoników regularnych w Czerwińsku przy prowadzonych obecnie robotach restauracyjnych, wykonywanych staraniem ks. kanonika Eugeniusza Gruberskiego pod kierunkiem architekta, p. Stefana Szyllera.

Poprawiając posadzkę, natrafiono na płyty kamienne pokryte od spodu neibami. Są to, jak się zdaje, kawałki dawniejszych płyt grobowych, przeważnie bardzo zniszczonych i małej artystycznej wartości, ale wśród tych fragmentów jest kilka, stanowiących nadzwyczaj ciekawy przyczynek do historyi romańskiej architektury u nas. Są to resztki ozdób kamiennych, jakie kościół przed wiekami posiadał, a które, gdy czas je uszkodził, uznano widocznie za pozbawione wszelkiej wartości i użyto na posadzkę.

Po złożeniu ze sobą kilku potłuczonych kamieni okazuje się, że stanowiły one niezaprzeczenie jedną wielką kompozycyę architektoniczną, która wypełniła półokrągłą wnękę nade drzwiami wspaniałego romańskiego portalu czerwińskiego, odkrytego w 1907 roku.

Jest to szereg wnęczek z kolumienkami, ściankami i bogatym gzemsem, mieszczącym figurki dwunastu apostołów. Dwie takie figurki ocalały i przechowywały się w zakrystyi kościoła, będąc dotychczas dla archeologów zagadką, skąd mogły pochodzić te rzeźby archaiczne.

Obecnie zagadkę rozwiązano. Niezaprzeczenie zdobiły one ów fryz arkaturowy romańskiego portalu, czego ich wymiary, forma i ślady dawniejszego przymocowania żelaznemi sztybrami najwyraźniej dowodzą.

Ponad fryzem na reszcie półkręgu znajdują się kawałki skrzydeł anielskich po obu stronach środkowego zagłębienia w kamieniu, które wyraźnie wskazuje, że był tu wstawiony inny kamień rzeźbiony. Ponieważ kościół jest pod wezwaniem Matki Boskiej, wielkie jest prawdopodobieństwo, że był tu po środku wizerunek Matki Boskiej, adorowanej przez aniołów.

Fragmenty te mają bardzo wyraźne ślady polichromii prymitywnej, które i na kapitelach portalu już dawniej dostrzeżono.

Wśród rumowiska znaleziono także wielki odłamek arkady, pokrytej bogatą rzeźbą romańską, który po dokonaniu pomiarów okazał się fragmentem trzeciego, dziś już nie istniejącego, łuku portalowego. Każe się to domyślać, że portal czerwiński posiadał dawniej nie dwie, jak obecnie, lecz cztery kolumny, z których dwie wraz z tym łukiem uległy zniszczeniu.

Być może iż dalsze poszukiwania pozwolą odnaleźć z czasem i te zaginione resztki. Niestety, brak środków ubogiej parafii nie pozwala na systematyczne przeprowadzenie takich poszukiwań, ale już z tego, co dotychczas odnaleziono, wynika, że portal czerwiński jest najwspanialszym naszym zabytkiem z epoki romańskiej.

Innego ciekawego odkrycia dokonano w absydzie prezbiteryum poza wielkim ołtarzem, gdzie pod warstwą kilku pokładów pobiały wapiennej odsłonięto stare malowidła ścienne, pochodzące z trzech epok.

Najdawniejsze, bardzo naiwne i nieudolne, pochodzące prawdopodobnie z czasów romańskich, są bardzo zniszczone; przedstawiają sceny z życia Chrystusa, rozmnożenie chleba i ryb, kuszenie szatana i t. p. Druga warstwa malowań, przedstawiająca szereg apostołów prawie naturalnej wielkości, jest względnie najlepiej zachowana. Są to postacie nietyle malowane, ile rysowane pędzlem, przyczem rysunek odznacza się wielką poprawnością i pewnością linii i przypomina sztychy średniowieczne.

Trzecia warstwa malowań, która dwie pierwsze częściowo pokrywa, pochodzi z czasów baroku i mieści się głównie na sklepieniu i obramowaniach okien. Są to ornamenty z barwnych liści winogronowych i kwiatów, tudzież twarzy w medalionach małej wartości artystycznej.

× W dniu 15 b. m. otwarty został w Warszawie przy ulicy Włodzimierskiej Nr. 4 nowy „Antykwaryat polski“, założony zbiorowemi siłami kilku miłośników i zbieraczy tutejszych, pod przewodnictwem prof. Jana Michalskiego, znanego bibliofila i posiadacza pięknego zbioru druków XVIII wieku. W katalogu, obejmującym do 50,000 tomów, znajdujemy licznie i pięknie dobrany dział krajoznawczy, monografie miast, sztychy, mapy i plany, co dla przyjaciół i miłośników krajoznawstwa może być wiadomością nie bez wartości. Pierwszy katalog, obejmujący „Varsoviana“ wyjdzie w tych dniach

+ Jedna z korespondentek naszych, p. H. Moździńska, komunikuje nam nazwy — przezwiska, jakie w okolicy Zawiercia mają mieszkańcy każdej niemal wsi. Mieszkańcy Bzowa to „Bzowskie żróbki“, Karlina—„Karlińskie Kozy“ (jako że się po skałkach drapią); Kromołowa — Cielne Jasie; Podzamcza — Kocury; Ogrodzieńca—Łupoki (jako że pono kiedyś konia łupali).

Od Administracyi.

Do numeru bieżącego dołączamy dla tych prenumeratorów, którzy wnieśli stosowną opłatę Album „Ziemi“ serya II „TYPY LUDOWE“.

TREŚĆ: *St. Matusiak* — Jeszcze o naszej drużynie weselnej (c. d.). *B. Janusz* — Zbiór broni Stanisława Kruka we Lwowie (z 2 ryc.). *Jerzy Lande* — Z Tatr (z 3 ryc.). *Władysław Tatarkiewicz* — Ceramika i szkło polskie na wystawie w domu Baryczków (z 3 ryc.). — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.